

Andrzej Walter

Wszystkim osieroconym

Niebo, do którego odeszły nasze matki najprawdopodobniej jest proste, bardzo zwyczajne i pozbawione naszej wszechobecnej elokwencji, wszelakiej sztuczności i pozerstwa oraz tych wszystkich wystudiowanych min czy nagminnie przybieranych postaw na pokaz. Jest niebem absolutnie czystym i niebem najprostszym, bo złożonym przeciw z: czułości, z poczucia jakiegoś braku i z tej gigantycznej tęsknoty, jest niebem: wędrowców, zwykłych, jak najzwyklejszych ludzi, tych, którzy czują się osieroceni przez nasze Matki i ich... prozaiczne przeciw i jakże typowe dla zwyczajnego ludzkiego życia (taka przeciw kolej Rzeczy) odejście...

Pod koniec ubiegłego (2022) roku ukazał się tradycyjnie już nakładem Wydawnictwa Adama Marszałka tom jakże niezwykły, tom jakby kompletny, tom dla wszystkich osieroconych – będący wyborem wierszy i refleksji **Marka Wawrzkiwicza**, a zatytułowany nader skromnie „Pierwsze i ostatnie”. To tom fenomenalny zarówno w swej prostocie jak i w najzwyklejszym na świecie odbiorze. Ostentacyjnie zwracający się, najotwarciej jak to tylko możliwe, do naszych uczuć pierwotnych, do nostalgii elementarnej i do stanów, właściwie podstawowych. Ta, przywołana przeze mnie nieco przekornie, ostentacja, to mimowolne przymuszenie nas do ściągnięcia tych wszystkich masek, oręży czy zbroi i odrzucenia wszelkiej posiadanej broni. Stajemy się oto... bezbronni. Nadzy i bezbronni. Niewinni jak dzieci.

Pozwólmy wypowiedzieć się w tym miejscu Markowi Wawrzkiwiczowi: (nie chcę być bowiem gołosłowny)

„Przecież przestajemy naprawdę być dziećmi, kiedy umiera matka. Niezależnie od wieku stajemy się sierotami. Tak uważam. Wisława Szymborska napisała:
*Syn prawdziwej kobiety
Przybysz z głębi ciała
Wędrowiec do omegi
Wędrowiec jest samotny. To o wszystkich osieroconych”.*

Tak kończy poeta ten swój wyjątkowy i okolicznościowy tom, a zaczyna go wierszem wręcz niesamowitym:

Matka

*Niebo, w którym 12 grudnia zamieszkała moja matka,
Nie jest przesadnie dostojne. Starawa wersalka
Z wytartych chmur, w kącie błękitnej kuchni
Miniaturowa śnieżycy, w której chłodzi się
ambrozja
Przypominająca smakiem mleko lub herbatę.
Kilka ulotnych sprzędów,
Nieziemskie hologramy rodzinnych zdjęć,
Telewizor z białym ekranem i radio*

Nadające dobre, spokojne wiadomości.

*Stół pływa na ciepłym strumieniu.
Matka unosi się nad nim. Nakrywa go
Kwitnącym lnem, rozstawia przejrzyste talerze.
Musi być gotowa. Pewnie przyjdą synowie,
Może wpadnie Ojciec Pio. Po kolacji.
Zagrają w remika.*

*Jest mniej zgarbiona. Nareszcie
Odrosty jej włosy. Są jeszcze siwe,
Ale już powoli czernieją. Twarz gładka.
Tylko ręce nie chcą się odmłodzić.
Nie można z nich wygnać zmęczenia.
Ale ogólnie jest niezłe. Przeląga się
w kryształ gwiazdy:
Ładnie jej w tym popielatym sweterku od Teresy.
Patrzy na telefon.
Ma – nie wiadomo czemu – kształt serca.
A kiedy dzwoni świetlistą nocą
Zapala się w nim coś w rodzaju
Różowego płomyka.*

*Jeszcze trzeba odgrzać parówki cielęce,
Pokroić chleb niebieski tym co zwykle
promieniem,*

*Powiesić ręczniki z obłoków
Na wierzbie nad stawem*

*Dobrze, że pogoda się wypogodziła,
Łagodnie słońce świeci z wszystkich stron.
Zdąż. Zdąż przed złotawym zmrokiem.*

Już jedziemy Mamusiu.

Tak, Mamusiu. Jedziemy już. Jedziemy grupą, razem. My, wspólnota wszystkich osieroconych. Ja akurat piszę ten tekst 13 marca 2023 roku. Poniedziałek. Imieniny Krystyny. Zawsze, rok w rok, kupowałem mamie tulipany. Kolory przeróżne, ale najbardziej lubiła te żółte. Dziś też są i będą żółte. Przy grobie jest na szczęście taki wazon, lecz płatki marcowego śniegu pokrywają ten kolor swoją bielą. Jest zimno. Mało wiosennie. Może to i lepiej. Kiedy wkracza wiosna ból ocieplony pierwszym słońcem jakoś mocniej doskwiera. Niebo, w którym 17 maja zamieszkała moja mama jest chyba podobne do nieba Mamy Marka Wawrzkiwicza. Krząta się w nim i czeka na mnie, na spokojne wiadomości, na łagodną rozmowę, jak to w tym roku znów kwitną jaśminowce i siądziemy na tarasie wspominać niesforną rodzinę. Będziemy tam siedzieć z całym naszym zwierzyncom oraz krzątającą się Jadwigą, która poda nam jakieś pyszności. Zdążę Mamo. Napisać wiersz, pewnie nie taki jak Marek, ale choć spróbuję za nim podążyć, może nie byłbym zbyt dobrym synem, ale chciałem dobrze, a wychodziło, no wiesz, jak wychodziło, ale zdążę... z pewnością zdążę, zaczekaj.

W wierszach Marka Wawrzkiwicza nie odnajdziecie tego *Herbertowskiego* patosu,

tych arcyfilozoficznych meandrów zapisu, tego *Miłoszewego* monumentalizmu, ani *Norwidowskiego* tragizmu. Nie odnajdziecie też *Różewiczowskiego* prozaicznego i mocnego opisu rzeczy ważnych, ale jednocześnie odnajdziecie w tych wierszach coś o wiele potężniejszego, coś wręcz na dzisiejsze czasy niesłuchanego, coś co czytającego chyba bardziej niż to możliwe przejmując, jeśli nie najbardziej: ścisła za gardło, wzniesła wzruszenie, powoduje niejaką suchość w ustach i zatrzymuje choć na chwilę czas wywołując z czeluści sumienia i wspomnień te najczulsze z prawdziwych – dźwięki dzwonów naszego życia. Prawdziwego życia.

To czysta Poezja w swym oszczędnym minimalizmie. Przekraczająca samą siebie. Poezja w detalu, w najprostszym i najmniejszym zdarzeniu, w czynności, w chwili i w dotyku, w spotkaniu, w śniadaniu, w obiedzie czy w kolacji, w drobiazgu, w chwili najmniej związanej z poezją... okazuje się – a jednak to jest najwerniejsza Poezja. To mistrzostwo być może nieuświadomione, wypierane przez konkurencję, stąd tak mało się przez całe lata dostrzegało tego wyjątkowego i świetnego poetę. Potrafił on bowiem w całej swej twórczości niemal niezauważenie przekuć wszystkie te warstwy opiewanej obficie wartości lirycznej wierszy największych polskich poetów we współczesną lirykę zwyczajności i nadzwyczajności poezji najwyższych dziś lotów i do tego bez napuszenia i bez tych wszystkich wspomnianych masek, bez symboli i atawizmów, i bez tych kluczy i wytrychów zaciemniających całość, a ukazując bezpośrednio realną siłę poezji w rzeczach, w sprawach i w uczuciach najprostszych, najmniejszych, a jednocześnie najbliższych właściwie każdemu człowiekowi na tym padole. Nie każdy bowiem zawiesi flagę na Reichstagu, ale każdy zapłacie żegnając odchodzącą matkę. To moment najważniejszy. Być może przełomowy.

Niemal każdy zatem wiersz Wawrzkiwicza to jakaś osobno opowiedziana historia. Jakaś całość, w której banalność zdarzeń, wydarzeń, spotkań, refleksji uwznioślona jest metaforą jakże zaskakującą, delikatną, wyrafinowaną i jaskrawą, czyniącą z naszej... prozy życia – poezję właśnie. W efekcie Wawrzkiwicz czyni nas i nasze życie po prostu lepszymi. Wynosi nas – czasami na siłę, czy chcemy czy też nie – ponad naszą przyziemność. Ocala nas. Tak. Nie zwątpię w użyte, tu i teraz, tak odważnie użyte, słowo: – Wawrzkiwicz nas ocala, ocala nas, samych przed sobą, przed naszą, zanurzoną w podłych czasach: przed małostką, małostkowością i brakiem wręcz sumienia nadając naszym sumieniom wymiar poezji. Tak działają te wiersze. Nie da się tego nie dostrzec.

(Dokończenie na stronie 4)